

Gdy zaczęło robić się ciemno rozstawili obóz. Graves wyciągnął z torby małe drewniane tabliczki i zostawiając pomiędzy nimi krótkie odstępki wyznaczył okrąg o średnicy około pięciu metrów. Następnie usiadł pod jedynym włączonym w krąg drzewem z miną wyrażającą poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Korzystając z resztek światła dziennego Joe poszedł poszukać jakiegoś drewna na opał. Z powodów nad którymi nigdy się nie zastanawiał w lasach iglastych zawsze leżało trochę gałęzi pod drzewami. Wystarczyło się schylić i pozbierać. Nudne i męczące, uznał po podniesieniu trzeciej gałązki. Nie wierzę, że są na świecie ludzie lubiący pracę fizyczną.

Nagle usłyszał trzask. Uniósł głowę, próbując namierzyć źródło dźwięku. Nie zauważywszy niczego, wrócił do zbierania patyków. Jak dotąd podczas wyprawy ani razu nie trafili na żadne zwierzę, czy to przez ich nadzwyczajną płochliwość, czy też po prostu ich brak. Joe nie był głupi. Wiedział, że to mógł być Wendigo. Ucieczka jednak była złym pomysłem. Odruchem drapieżcy był pościg za ofiarą. Poza tym był pewien swoich umiejętności w stopniu wystarczającym by ignorować wysyłany mu przez instynkty czerwony napis głoszący: „czas spierdalać”.

Słońce już niemal zaszło, gdy skończył zbierać materiał na opał. Stał przez chwilę w miejscu, próbując złapać naręcze gałęzi tak, by pozostała mu jedna wolna ręka. I ponownie coś usłyszał. Obrócił się, dobywając broni, lecz niczego nie zobaczył.

– Wyłaż – powiedział cicho. – Pokaż się, Wendigo. Jeżeli to ty.

Żadnej odpowiedzi.

– Mówię poważnie. Tu nawet nie ma krzaków, w których mógłbyś siedzieć i do których mógłbym strzelać. Gdzie jesteś?

Las milczał. Zmrok był coraz bliższy i pod naciskiem nasilającego się czerwonego światła napisu „czas spierdalać” Joe zaczął się wycofywać. Niechętnie przyznał przed samym sobą, że nie radzi sobie z sytuacją. Po kilku krokach tyłem obrócił się i na granicy biegu ruszył w stronę obozu. Nie minęło dużo czasu, zanim zobaczył łysy łeb mutant. Te świecące lekko niebieski żyłki pod jego skórą stawały wyjątkowo widoczne w następujących ciemnościach.

Nagle zauważył coś na ziemi. Przystanął i kucnął obok leżącego na ziemi połamanego łapacza snów. Jednego z tych, które dostali od zleceniodawcy, po jednym na każdego. Odruchowo klepnął się po kieszeni, do której wsadził swój. Był na miejscu. Może trochę pognieciony, ale w całości. Podniósł znalezione łufę wciąż trzymanego w prawej dłoni rewolweru i przeszedł ostatnie kilkanaście kroków dzielących go od obozu.

– Wreszcie – przewrócił oczami na jego widok mutant. – Ile można zbierać patyki?

– Coś za mną lazło.

Słyszając to, Indianka sięgnęła po leżący na jej bagażu łuk bloczkowy.

- Widziałeś go?
- Gdybym widział, słysząc by było strzały.
- Idziemy? – zapytał Nefas.
- Nie. Zaraz zajdzie słońce. W nocy nie mamy z nim szans – powiedziała Béésh, lustrując wzrokiem las.
- Wyrastają mu rogi, jak w tej książce? – zaszydził Nefas.
- Poczekaj. Może zobaczysz.

Mutant prychnął.

- I jeszcze jedno – powiedział Joe i uniósł rewolwer z wciąż wiszącym na lufie połamanym amuletem. – Czy to kogoś z was.
- Nie celuj we mnie, idioto – warknął Nefas, odsuwając się.
- Tylko pytam.

Indianka popatrzyła na rewolwerowca zmęczonym wzrokiem.

- Przystań się wydurniać – powiedziała.
- Jak sobie chcecie. – Joe wyrzucił połamany amulet w krzaki i usiadł na ziemi z zamiarem nieodzywania się do nikogo w najbliższym czasie. Chciał przecież tylko pomóc. I zrobić przy okazji coś zabawnego. Szkoda, że nikt inny w drużynie nie ma poczucia humoru, stwierdził. Gdy tak siedział milcząc, Nefas rozpalil ogień i na trzech patykach zawiesił nad nim mały garnek, do którego wrzucił kawałki suszonego mięsa, warzywa, głównie straszliwie powykręcane marchewki i trochę suszonych ziół.
- Czy to konieczne? – zapytała Béésh.
- Co masz na myśli? – Mutant spojrzal na nią zaskoczony.
- Marnowanie zapasów.
- Ciepłe zarcie wpłynie pozytywnie zarówno na funkcjonowanie organizmów jak i na morale członków drużyny.
- Marnujesz zapasy.
- Mamy ich więcej niż dosyć, chyba, że chcesz spędzić w tym lesie wieczność.
- Ja dowodzę tą wyprawą i nie zamierzam tolerować czegoś takiego.

Nefas wykrzywił wargi jakby chciał powiedzieć coś bardzo nieprzyjemnego, ale tylko zacisnął zęby i skupił się na garnku.

- Czy się rozumiemy? – naciskała Indianka.

– Tak.

– To dobrze.

Ta wymiana zdań nie poprawiła relacji w drużynie. Wciąż obrażony Joe poświęcał całą swoją uwagę czyszczeniu rewolwerów, Graver ozdabiał symbolami drzewo, a traperka Sile wyciągnęła skądś małą zniszczoną książeczkę oprawioną w skórę i przerzucała kartki wyraźnie czegoś szukając.

Gdy Nefas wreszcie skończył gotować, w puszczy nastały zupełne ciemności. Zadowolony z siebie wydzielił porcje w metalowych miskach i sam wziął się do jedzenia. Joe też jadł. Dlaczego miałby tego nie robić? Głód wygrywał z niechęcią. Jednak jedna osoba nawet nie tknęła swojej porcji.

– Dlaczego nie jesz? – zapytał Nefas.

– Nie mogę – odpowiedziała Béésh, unikając jego spojrzenia.

– Nie możesz, czy nie chcesz?

– Nie mogę – powtórzyła Indianka. – Choćbym nie wiem jak próbowała, nie jestem w stanie niczego zjeść.

– Od dawna?

– Od jakiegoś czasu.

Mutant skinął głową w zamyśleniu.

– Stres potrafi doprowadzić do takich rzeczy – powiedział. – Przykro mi z powodu twojego brata.

Béésh skinęła głową.

Po skończonym posiłku żaden z członków drużyny nie przejawiał ochoty na pójście spać. Wypełniały ich strach i ekscytacja. W końcu Wendigo mógł czaić się tuż za przysłowiowym rogiem, albo, co bardziej adekwatne w tym wypadku, drzewem.

– Chce ktoś opowiedzieć jakąś historię? – zapytała trochę nieśmiało Sile. – Słyszałam, że ludzie robią takie rzeczy przy ogniskach – dodała, gdy spojrzeli na nią wszyscy za wyjątkiem Gravera.

– Dobry pomysł – powiedział Nefas, uśmiechając się złośliwie. – Może opowiesz, co masz do mutantów, Joey?

Rewolwerowiec popatrzył na niego spode łba.

– No już, nie zabijaj mnie wzrokiem. – Nefas świetnie się bawił.

– Co mam do mutantów? – Joe poprawił plecak, którego używał jako podparcia. – No cóż, urodziłem się w okolicach nowej Akadii. To teren zamieszkały głównie przez plemiona zdiczałych debili. Spora ilość ludzi bez kontaktu z większymi cywilizacjami. Nic dziwnego, że w końcu bazę założyła sobie jakaś organizacja. Banda mutantów rządzona przez jajogłowych. Co za farsa. – Zaśmiał się cicho. – Porywali ludzi.

O to pewnie chodziło im od początku. Nawet się z tym nie kryli. Przemądrzałe skurwysyny i ich cele naukowe.

– I pewnie jeszcze porwali ciebie, albo kogoś kogo znasz? – zaszydził Nefas.

– Nie. Ale i tak dołączyłem do walki przeciwko nim. Chcesz wiedzieć dlaczego?

– No powiedz.

– Bo sprawiali że się bałem. Bałem się, że ja będę następny. Nie znoszę tego uczucia. Pewnego dnia postanowiłem sobie, że już nigdy nie będę się bać. – Joe zacisnął pięści i wykrzywił twarz w wyrazie wściekłości. – Że nie będę ofiarą. Że zniszczę każdego, kto będzie próbował postawić się nade mną. Ciężko pracowałem, żeby być tym, kim jestem teraz. Żeby być dość dobrym, by nie musieć się bać. – Spojrzał na mutantą, oczekując kolejnych złośliwości. Zamiast tego zobaczył w jego twarzy cień zrozumienia.

– Wiesz, nie wybrałem sobie takiego życia. Jestem dzieckiem z próbówki, nie miałem żadnego wpływu na to, że urodziłem się mutantem – powiedział Nefas po chwili namysłu. – Tak bardzo chciałem być wolny, tak bardzo chciałem sam być panem własnego losu... Myślisz, że mi się udało? Oczywiście, że nie. Ale zbliżyłem się do mojego celu tak bardzo jak tylko się dało. Nigdy nie będziemy w pełni wolni. Im więcej znaczymy, tym bardziej chcą nami władać, a ja, będąc mutantem, zawsze będę coś znaczył.

– Co masz na myśli?

– Że tak długo jak jesteśmy kimś nie możemy być wolni. Tylko nikt doświadczy prawdziwego wyzwolenia.

– Będąc nikim jest się słabym. Silni wykorzystują słabych.

– Nie rozumiesz. Idealny nikt nie będzie nic znaczył.

Joe pokręcił głową.

– Masz rację, nie rozumiem – powiedział.

Nefas wyciągnął skądś paczkę papierosów i wyciągnął zachęcająco w stronę rewolwerowca. Ten wziął jednego i w zamian podzielił się zapalkami. Siedzieli tak chwilę w milczeniu. Graver już dawno zawiązał się w koce i zasnął, a Sile przysypiała na siedząco.

– Jest już późno – stwierdziła Béesh.

Joe spojrział na zegarek, którego znów zapomniał nakręcić i skinął głową.

– Pierwsza warta jest twoja – powiedziała Indianka i zaczęła układać sobie posłanie z koców.

Nefas rzucił niedopałek w śnieg i sam zawiązał się w koce.

– Nie zaśnij, kapitanie Nemo. Nie chciałbym obudzić się martwy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

StalowyKruk, dodano 11.09.2019 10:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.